

Rym do miłość

- Ubieraj się, idziemy do babci Stasi! - głos mamy przeszył mój spokój. Doskonale znam ten ton i wiem, że nie przyjmuje słów sprzeciwu.

- Jeszcze chwila, kończę polski – syknęłam i spuściłam wzrok, żeby nie zauważyła łez.

- Nici z klikania z Klaudią – pomyślałam ze złością. A może nawet wściekłością. Nie mam ochoty wychodzić z domu! Nie mam ochoty odwiedzać staruszek! Nie mam ochoty zostawić telefonu! Nie zdążyłam dokończyć myśli, gdy usłyszałam, że mama nie ma czasu na tracenie czasu. Wrzuciłam zeszyt do plecaka i ospale ruszyłam do łazienki. Związałam włosy w koński ogon i stanęłam przy drzwiach – gotowa do wyjścia.

Wiatr miał tego dnia nerwowy nastrój. Hulał po ulicach i podrywał liście do szaleńczego wyścigu. Czułam, że drobinki piasku wpadają mi do oczu. Nie miałam ochoty rozmawiać, ale mama „trajkotała” coś o nadchodzącej jesieni. Udawałam, że słucham, ale rozmyślałam o babci Stasi. Wcale nie była babcią. Na pewno nie moją. Jeśli już – to prababcią. To „przyszywana” babcia mamy. Nigdy nie miała dzieci, a teraz mieszkała sama w maleńkim mieszkanku. Nikt jej nie odwiedzał. Dlatego mama, w przeciwieństwie do mnie, bywała tam codziennie. Zawsze miałam ważny sprawdzian albo prezentację do zrobienia. Czasem kleiłam makietę, a innym razem szylałam coś ładnego. Celowo unikałam wyjść do babci. Nie lubiłam jej słuchać. Brzmiała, jak płyta, którą kochasz i włączasz ją sto razy dziennie, co sprawia, że znasz ją na pamięć. Różnica była tylko jedna; chociaż bałam się „wypomyśleć” te słowa. Za każdym razem narzekała na samotność i skarżyła się na uciążliwą sąsiadkę, która każdej nocy stuka łańcuchami... Kiedy snuła swoją opowieść, gładziła mamę po rękach i próbowała przysmaków, które powstały w naszej kuchni. Niezbyt często byłam świadkiem tej czułości, bo jak ognia unikałam wyjść do babci. Tego dnia było tak samo. Zapukałyśmy do drzwi i usłyszałyśmy to samo powolne szuranie nóg. Drzwi otworzyły się i głośno zaskrzypiały, a w progu ujrzałam wyblakłe oczy i płowe włosy. Nigdy nie mówiłam mamie, że boję się tego widoku. Oczy staruszków są takie bezbarwne, smutne i nieżywe. Tym razem zabłysły jakimś nieznanym światełkiem. Mama też to zauważyła i komplementowała babunię mówiąc, że widzi radość w jej spojrzeniu. Tak! Pomyślałam o niej - „babunia”- chyba pierwszy raz w życiu.

- Julcia, tak długo Cię nie widziałam – powiedziała babcia i uśmiechnęła się całym ciałem. Nie wiem dlaczego, ale podeszłam i mocną ją przytuliłam. Zobaczyłam nawet zdziwienie w oczach mamy. Dobrze wiedziała, że nie lubię się przytulać. Usiadłyśmy, a rozmowa snuła się swoim starym rytmem. Patrzyłam na twarz Stanisławy, (mama zwracała się tak do babci tylko wtedy, gdy chciała ją upomnieć, że chodzi bez laski lub za mało je) i uczyłam się jej na nowo. Minęły dwa miesiące od czasu,

gdy widziałam ją ostatni raz. Schudła, zmaląła, a jej język co chwilę wysuwał się z ust i wykonywał dziwne ruchy. Nie przeszkadzało jej to w snuciu opowieści o sąsiadce, która uderza łańcuchami, ale słuchałam tej opowieści pierwszy raz w życiu. Patrzyłam też na mamę. Zmieniała pościel, bo babcia nie jest szybka na dystansie do toalety. Wycierała kurze i śpiewała stare piosenki. Zauważyła, że radio babci jest zepsute, a w koszyczku z owocami nie ma jabłek.

Kiedy zbierałyśmy się do domu, zabrała brudne rzeczy do prania i zajrzała do lodówki. Wyrzuciła nadpsute winogrona i zaczęła się wymądrzać, że w tym wieku trzeba się dobrze odżywiać i stanowczo nie można jeść pleśni. Na odchodne rzuciła, że za tydzień świętujemy dziewięćdziesiąte siódme urodziny i trzeba dbać o dobrą formę. Szybko zbiegłam po schodach i czekałam pod klatką schodową myśląc o dziewięćdziesięciu siedmiu latach...

- Skąd znasz datę urodzin babci? – przecież nie jest Twoją babcią... Mama popatrzyła na mnie i w milczeniu postawiła nogę na przejściu dla pieszych. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, aby przeczytać klepsydrę zawieszoną na bramie cmentarza. Widywałam je prawie każdego dnia, ale nigdy nie czytałam. Ta była pierwsza.

- Babcia Stasia urodziła się 24 sierpnia. To dla mnie podwójne święto. Paulo Coelho, również, ma wtedy urodziny. Znałam to nazwisko. To ulubiony pisarz mamy.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytałam z nieukrywanym podziwem.

- Wiesz córeczko, w życiu nie są ważne tylko dobre stopnie i telefon. Trzeba umieć patrzeć i widzieć. Nazywam to uważnością. Popatrzyłam na mamę i wiedziałam już, co chce mi powiedzieć. Dalszą drogę do domu spędziłyśmy w milczeniu. Czułam, że coś się zmieniło, chociaż nie wiedziałam jeszcze, co to takiego.

Po powrocie pobiegłam do swojego pokoju i wyjęłam zeszyt do polskiego. Polecenie zadania domowego brzmiało: „Dopisz wyraz tworzący rym z wyrazem – miłość”. Przekreśliłam to, co wymyśliłam wcześniej i napisałam: „uważność”.

Uważność to miłość...

Julia Gozdecka